

Biuro

Pomysł na rozwiązanie moich problemów, prosty, ale śmiały, przyszedł mi do głowy, gdy pewnego wieczoru prasowałam koszulę. Weszłam do salonu, gdzie mąż oglądał telewizję i oświadczyłam:

— Myślę, że powinnam mieć własne biuro.

Nawet w moich uszach zabrzmiało to zaskakująco. Bo po co mi właściwie biuro? Mam przecież dom; ładny, przestronny i z widokiem na morze; jest w nim dość miejsca, by spożywać posiłki, wypoczywać, brać kąpiel i rozmawiać z przyjaciółmi. Mam też ogród; przestrzeni mi nie brakuje.

Niby tak. Ale tu konieczne jest wyznanie, które przychodzi mi z trudnością: jestem pisarką. Nie brzmi to dobrze. Zarozumiałe oświadczenie; z nutą fałszu, a przynajmniej mało wiarygodne. To może inaczej. Piszę. Jeszcze nie tak? U si łą j ę p isa ć. Wyszło jeszcze gorzej. Fałszywa skromność. Więc jak to powiedzieć?

Nieważne. Jakkolwiek by to ująć, okazuje się niejasne (coś zostanie niedomówione), co gorsza umknie pewien istotny szczegół. Ale ludzie są uczynni i brak zrozumienia szybko rekompensują nadmiarem miłych słów, wykrzykując, jakie to cudowne zajęcie albo że mi gratulują, albo też, że to naprawdę niezwykle. I jeszcze ożywionym głosem dopytują się, co konkretnie piszę. A ja odpowiadam, że prozę, i od tej chwili bez trudu już znoszę upokorzenie, co więcej, opuszcza mnie nonszalancja, a ledwo dostrzegalne syndromy niemocy twórczej pierzchają pod naporem przyjaznych głosów, które zresztą wkrótce słabną w zapale do wyrażania duchowego wsparcia i są już tylko w stanie dodać: Ach!

Więc biuro (wyjaśniłam mężowi) potrzebne mi jest po to, żebym miała gdzie pisać. Od razu zdałam sobie sprawę, że zabrzmiało to jakoś na wyrost, jakbym chciała samej sobie zrobić przyjemność. Bo wiadomo, żeby pisać,

trzeba mieć maszynę lub przynajmniej ołówek, trochę papieru, do tego stół i krzesło; a wszystko to jest przecież w sypialni. Ale teraz chcę mieć jeszcze biuro.

Szczerze mówiąc, nie byłam nawet przekonana, że biuro służyłoby mi rzeczywiście do pisania. Może tylko bym tam przesiadywała i wpatrywała się w ścianę; jednak nawet taka perspektywa jakoś mnie nie zrażała. Najbardziej podobało mi się samo brzmienie słowa „biuro”, bo dawało poczucie godności i spokoju. Celowości działania i bycia kimś ważnym. Ale mężowi nie śmiałam o tym wspomnieć — uciekłam się jedynie do górnolotnych wyjaśnień, które, jeśli dobrze pamiętam, brzmiały mniej więcej tak:

Dom może być miejscem pracy dla mężczyzny. Przynosi on pracę ze sobą i znajduje odpowiednie miejsce do jej wykonywania; dom jest do nowej funkcji przystosowywany najlepiej, jak tylko się da. Całe otoczenie liczy się z jego pracą. Mężczyzna nie musi więc odbierać telefonów, ciągle czegoś szukać, doglądać płaczących dzieci ani karmić kota. Może po prostu zamknąć drzwi. Ale wyobraź sobie (tłumaczyłam mężowi), że matka zamyka drzwi, a dzieci wiedzą, że ona sobie tam po drugiej stronie siedzi — nie umiałyby się z taką sytuacją pogodzić. Bo kobieta, która zajmuje się swoim światem, a nie sprawami męża albo dzieci, uważana jest powszechnie za zjawisko sprzeczne z naturą. Tak więc dla kobiety dom nie jest taką samą przestrzenią jak dla mężczyzny. Ona nie może wejść i skorzystać z niego, a potem wyjść. Ona jest częścią domu, i to częścią nieodłączną.

(Niestety, zawsze kiedy zabiegam o coś, na co w swoim własnym mniemaniu raczej nie zasługuję, popadam w zbyt emocjonalny ton. Czasami, zwłaszcza wiosną, podczas wciąż jeszcze długich i smutnych wieczorów, gdy rozkwitają pierwsze rośliny cebulkowe, a naturalne światło jest jeszcze bardzo wątłe w porównaniu z tym, które dopiero nadciąga zza morza, otwieram okna i mam wrażenie, że dom ustępuje pod naporem lasu, a tynk i inne proste materiały, z których jest zbudowany, oraz wypełniające dom życie, zdradzają

mnie, opuszczają i czynią bezbronną, narażoną na cios; z jednej strony ożywia mnie iskra nieokiełznanej wolności, z drugiej przytłacza technienie samotności, która jest zbyt trudna i bezwzględna, bym mogła ją znieść. I wtedy już rozumiem, jak bardzo mój świat obdarza mnie opieką i ciepłem, a przy tym jak mnie zniewala).

— No dobrze, spróbuj znaleźć jakieś niedrogie biuro — to wszystko, co usłyszałam od męża. Bo on, w przeciwieństwie do mnie, nie potrzebuje wyjaśnień. Często i jakże powierzchownie stwierdza po prostu, że serce drugiego człowieka jest zamkniętą księgą.

Nawet wtedy nie wierzyłam jeszcze, że dopnę swego. Może w głębi serca ciągle żywiłam przekonanie, iż moja zachcianka jest na swój sposób niestosowna. Pewnie łatwiej byłoby mi się pogodzić z marzeniem o futrze z norek lub naszyjniku z diamentami; takie życzenia mogą się kobietom spełniać. Gdy dzieci poznały moje zamiary, zareagowały wyraźnym sceptycyzmem i brakiem wsparcia. Mimo wszystko wybrałam się do pobliskiego centrum handlowego; od wielu miesięcy widywałam tam, w sąsiedztwie apteki i zakładu kosmetycznego, lokale użytkowe z wywieszką WYNAJME i choć długo nie łączyłam ich ze swoimi planami, teraz przyszły mi na myśl. Idąc po schodach, czułam, jakbym wkraczała w inną rzeczywistość; już same formalności związane z najmem biura były skomplikowane; nie można było ot tak sobie zapukać i złożyć propozycję wprost, konieczne były działania drogą okrężną, bo za biuro zażądano by zbyt wysokiego czynszu.

Okazało się, że nie musiałam nawet pukać. W drzwiach pojawiła się kobieta, która ciągnąc odkurzacz i popychając go nogą, skierowała się w stronę przejścia z części użytkowej do mieszkalnej, zlokalizowanej na tyłach kompleksu. Mieszkała tam z mężem. To właśnie państwo Malley byli właścicielami obiektu i prowadzili wynajem lokali. Powiedziała, że pomieszczenia, które właśnie skończyła odkurzać, zostały już przystosowane do pełnienia roli gabinetu dentystycznego, ale może mi pokazać inne. Zaprosiła

mnie do mieszkania. Schowała odkurzacz, wzięła klucze i z westchnieniem, którego nie potrafiłam zinterpretować, oświadczyła, że męża nie ma w domu.

Pani Malley była delikatną, czarnowłosą kobietą lekko po czterdziestce, trochę zaniedbaną, ale wciąż jeszcze atrakcyjną, która nie rezygnowała z arbitralnie rozumianych atrybutów kobiecości, takich jak jaskrawa pomadka na ustach czy puszyste różowe kapcie na obolałych, spuchniętych stopach. W jej zachowaniu wyczuwało się brak zdecydowania, znużenie i tłumiony lęk, będące efektem długotrwałego obcowania z energicznym, drażliwym mężczyzną, stale potrzebującym wsparcia i opieki. Trudno mi teraz stwierdzić, do jakiego stopnia ocenę taką wyrobiłam sobie od razu, a do jakiego stopnia powstała ona w miarę naszych późniejszych kontaktów, ale natychmiast nabrałam przekonania, że jest bezdzielna z powodu niełatwej sytuacji życiowej. Natury jej problemów nie znałam, ale moja ogólna opinia była trafna.

Czekałam w pomieszczeniu pełniącym rolę zarówno mieszkalną, jak i biurową. Od razu rzuciły mi się w oczy modele statków — galeonów, kliprów i rozmaitych odwzorowań Queen Mary — okupujące stoły, parapety i telewizor. A tam, gdzie nie było modeli, stały rośliny doniczkowe oraz cała masa gadżetów gromadzonych zwykle przez mężczyzn, jak choćby porcelanowe głowy jeleni, odlane w brązie konie czy ogromne popielniczki z lśniącego metalu o żyłkowanej powierzchni. Na ścianach wisiały oprawione fotografie i, zdaje się, dyplomy. Jedno ze zdjęć prezentowało pudła oraz buldoga w męskich i damskich strojach; psy leżały w nienaturalnych pozach, które sugerowały czuły związek. Podpis brzmiał: „Starzy przyjaciele”. Ale dominującym elementem całego wnętrza był ujęty w złote ramy portret przystojnego, jasnowłosego mężczyzny w średnim wieku, ubranego w garnitur, siedzącego za biurkiem, emanującego aurą sukcesu i dobrobytu. Z perspektywy późniejszych doświadczeń dostrzegłabym u sportretowanego oznaki niepewności i braku wiary we własne siły, co wynikało z narzuconej sobie roli, której nie potrafił sprostać; nurtujący go niepokój próbował pokrywać przesadną, nachalną wręcz

szczodropliwością, a tego rodzaju zachowanie z dużym prawdopodobieństwem może prowadzić do katastrofy.

Tyle o Malleyach. Gdy tylko zobaczyłam biuro, polubiłam je. Było większe, niż bym potrzebowała i podzielone na dwie części, jak gabinet lekarski. (— Mieliśmy tu kręgarza, ale wyprowadził się — stwierdza ogólnikowo, lecz z wyraźnym żalem pani Malley). Ściany były puste i zimne, pomalowane na białą z lekką domieszką szarości, by nie męczyły oczu. Gdy pani Malley ujawniła, że nie mają jak dotąd żadnego chętnego na prowadzenie gabinetu, zaproponowałam dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie. Odparła, że musi porozmawiać z mężem.

Podczas następnej wizyty moja oferta została przyjęta i przy okazji poznałam pana Malleya. Wyjaśniłam mu, podobnie jak wcześniej jego żonie, że nie zamierzam korzystać z biura w ogólnie przyjętych godzinach pracy, tylko podczas weekendów i z rzadka wieczorami. Zapytał, jaką działalność prowadzę i powiedziałam prawdę, choć już się wahałam, czy nie zmyślić, że zajmuję się stenografią.

Przyjął tę informację z pewnym rozbawieniem:

— Ach tak, jest pani pisarką.

— Zgadza się. Piszę.

Fragment opowiadania *Biuro* w przekładzie Agnieszki Kuc, z wydanego właśnie w języku polskim zbioru *Taniec szczęśliwych cieni* autorstwa Alice Munro (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013).